Tom II. 11. Grudnia 1870. Nr. 17

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Sieroty.

(Ciąg dalszy.)

Lat kilkanaście minęło od owego czasu, jak jedna chwila. Jasiu wyrósł, wyładniał jeszcze więcej, i to nie tylko na ciele, ale i na duszy. Oddany do wielkiego miasta do szkół pracował niezmordowanie, uczył się pilnie, i nigdy czasu nie tracił na próżno. Profesorzy go lubili towarzysze szkolni szanowali i kochali wielce, boć dla każdego był przyjacielskim, serdecznym i dobrym. Niejednemu dopomógł datkiem pieniężnym, innego wyuczył, niektórych nawet upominał i karcił, jeśli zamiast nad książką siedzieć, myśleli o zabawie.

Ukończył najwyższą szkołę, co ją to wszechnicą nazywają, i to nauki prawnicze, bo tak sobie życzył jego dobroczyńca Ów Pan dawno już przyjął obie sieroty za własne i wychowywał je starannie i mająteczek umyślił im oddać po swojej śmierci. Toć i obie sieroty nazywały swoich opiekunów ojcem i matką, i wszyscy we dworze uważali je jak rodzone dzieci państwa.

Jasiu siedział właśnie przy stoliku i pisał list do domu, z doniesieniem, że nazajutrz przyjeżdża. Ukończył pisanie, zapieczętował i na chwilę zadumał się głęboko. W myśli widział

całe swoje życie dotychczasowe: uratowanie od śmierci głodowej w lesie, pogrzeb pierwszej matki, przyjęcie w domu dziedzica, wychowanie, ukończenie nauk, siostrę i wioskę rodzinną. I ojciec, gajowy, słabo odbijał się w pamięci, i choć to od niego nigdy dobrego nie usłyszał słowa, chciałby go teraz zobaczyć, przycisnąć do serca ucałować ręce i podzielić się z nim szczęściem swojem teraźniejszem. I łzy puściły mu się z oczu — ukląkł przed obrazem Matki boskiej i dziękował za tyle łaski, za tyle cudownej prawie opieki. Wyszedł na ulicę, oddał list na pocztę i pobiegł pożegnać się z swoimi współuczniami i znajomymi.

Na drugi dzień odprowadzili znajomi Jasia aż za miasto serdecznie się żegnali i spoglądali jeszcze długi czas za bryczką aż zniknęła w odaleniu.

Kiedy przybył Jasiu do swojej rodzinnej wioski, rozkazał furmanowi jechać do dworu, a sam pobiegł na cmentarz co był tuż obok drogi, uklęknąwszy na grobie matki modlił się gorąco i długo.

Siostra i cała rodzina wyruszyli naprzeciw, aby go powitać.

Inne czasy nastały w wiosce od czasu przyjazdu Jasia. Pamiętny na swoje pochodzenie i stan z jakiego wyszedł, nie zapomniał on o swoich braciach w siermiędze co nie mieli tyle szczęścia w życiu jak on, dopomagał im w czem tylko mógł. Niedługo stanęła szkółka w wiosce, urządzono szpichlerz gromadzki, odnowiono kościółek — nie jeden gospodarz za jego staraniem wybudował sobie piękny dom, drugi sprawił sobie lepszy dobytek, inny znów zaprzestał chodzić do karczmy i więcej pilnować gospodarstwa, — a wszyscy poczęli dzieci swoje pilnie posyłać do szkoły. Toć gospodarze powiadali że z Jasiem sierotą przyszło i błogosławieństwo boskie do sioła.

Raz Jasio przechodził wieczorem przez wioskę około stawu. Z przeciwnej strony idzie drogą schylony staruszek. Płócianka na nim bieluchna, broda siwiutka, twarz poorana zmarszczkami i smutna jakaś widać, że człowiek ten wiele musiał cierpieć.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! wyrzekł podróżny.

— Na wieki wieków amen, odpowiedział Jan. A zkąd to pan Bóg prowadzi?

— Oj zdaleka paniczu z daleka! Było się w szerokiem świecie i tu i owdzie — i jak to mówią i pod ławą i na ławie. Na starość zatęskniłem do rodzinnej wioski i oto przywlókłem, aby spocząć na tutejszym cmentarzu, obok żony pochowanej przed dwudziestu laty.

— To wy gotpodarzu tutejszy, zapytał rozciekawiony Jasiu, i wyszliście już przed dwudziestu laty?

— A tak — odpowiedział staruszek — już dwadzieścia lat jak opuściłem tę wioskę i błąkam się po cudzych kątach. Oj biedneż było życie moje biedne! Ale co tam wspominać o tem. Słuszna była kara boska.

— A czy nikogo we wsi nie zostawiliście?

— O mój Boże trudno to o tem opowiadać — nikogo mój paniczu nikogo, żona umarła nieboga, a dzieci wilki zjadły.

Jaś stanął jak wryty, Z początku chciał się rzócić w objęcia ojca, Marcina gajowego, ale przyszła mu inna myśl do głowy. Zaprosił staruszka do dworu kazał wynieść wieczerzę na ganek i usiedli obaj do posiłku. Starzec ujęty słowami i dobrocią Jasia począł po wieczerzy opowiadać historję swojego życia: jak to nie szanował swojej żony, jak z głodu umarła a dzieci gdzieś zaginęły, jak przepił całą swoją roczną płacę wziętą ze dworu jak potem puścił się na żebry. Głód dokuczał mu czasem i po trzy dni, bo go nikt wesprzeć nie chciał, nieraz pod płotem na śniegu umierał prawie z zimna i głodu — a nie było serca litościwego — nie raz pokaleczony od psów wiejskich leżał na barłogu błagając Boga o śmierć, Ale śmierć nie przychodziła — i całe dziesięć lat minęło na takich mękach. Zaprzestał pijatyki, na karczmę ani spojrzał, ale choć nie chciał chwycić jakiejś pracy, to sumienie dręczyło tak strasznie, że wszystko z rąk mu wypadało. W końcu znalazł służbę we dworze, pracował szczerze i uczciwie, uzbierał przez kilka lat i pieniędzy trochę i przyodziewy ale męka nie ustawała. A teraz kiedy poczuł, że śmierć się już zbliża chciał przynajmniej na cmentarzu przebłagać ducha swej żony i ułożyć się obok niej na spoczynek wieczny.

Jasiowi stały łzy w oczach, a kiedy staruszek skończył powstał i wyrzekł:

— Wasze dzieci żyją — to ja wasz syn ojcze Marcinie.

Staruszek z początku jakby nie wierzył — potem przestraszył się mocno, a kiedy Janek chciał się rzucić w jego objęcia, upadł bezprzytomny na ziemię.

Zbiegli się wszyscy na ratunek, Marcin odzyskał przytomność, a kiedy zobaczył i córkę swoją Marysię, złożył ręce ku niebu i serdecznie dziękował Bogu.

Ale od tak wielkiej uciechy rozniemógł się na dobre — prosił o księdza — wyspowiadał się Bogu — jednak przy troskliwej opiece po kilku miesięcach przyszedł do siebie.

Teraz po 4. latach kołysze wnuki — bo Janek ożenił się niedługo potem, a Marysia również się wydała — chodzi co dziennie na cmentarz i łzami obmywa grób swojej żony. A już kiedy dziedzica zobaczy — to i uspokoić się od łez nie może z wdzięczności, a dobre panisko odpowiada: Bóg ci widać przebaczył toć i ludzie ci przebaczyli. *S. L.*

Skowronek.

Skowroneczek furknął w glebie,
Zatrzepotał w drobne skrzydła:
I jak gdyby zwisł u sidla
Spiewa ziemi pieśń na niebie.

O co prosisz skowroneczku,
Czy o pokój w twym gniazdeczku?
Czy o ziarnko — drobną miarką?
Czy o wodę dla ochłody?

Ja o szczęście proszę wioski,
Bom ja śpiewak matki Boskiej!

A gdy ludziom dobrze, czule,
To i ja się gdzieś przytulę...

A więc lecę pod niebiosy,
I niebieskiej błagam rosy,
Błagam burzy urodzajnej,
Aby rosła niwa, łąka;
Płodnej ciszy, ciepła, słonka:
I to pacierz mój zwyczajny.

Wincenty Pol.

Pisanie Karola Głowackiego z Woli Rusinowskiej do redaktora „Dzwonka"

Szanowny Panie pisarzu „Dzwonka!"

Oświadczyłem się raz, iżbym i ja rad się czem przysłużyć naszemu kochanemu ludkowi, jakiem pisaniem do „Dzwonka", na coście wy chętnie przystali, i odpisali, że przyjmiecie aby tylko było od serca — ale tego zaraz nie uczyniłem. — Bo nie trzeba wam powiadać, że oprócz różnych interesów gminnych, musiałem i dla życia coś przysposobić: czy to zebrać, czy posiać, ziemniaki wykopać. jednem słowem jako tako na zimę się zaopatrzyć. — Lecz da Bóg zdrowia, choć się odwlekło, to nie uciekło. Człowiek żyjąc na tem bożym świecie, napotyka na złe i dobre. Przytem przypomina sobie, niejedną gadkę, z dawnych lat, co się słyszało od starszych ludzi, a wszystko to mogłoby przynieść jakiś pożytek dla ludu. Ale z tego wszystkiego, jeden przykład podaję, który mi się tego roku przytrafił, a spodziewam się, że dla przykładu innych, każecie wydrukować w wirszym Dzwoneczku.

Piękny przykład.

Dzieci w szkółce mojej w Woli Rusinowskiej postanowiły odprawiać majowe nabożeństwo i same się o to do mnie zgłosiły. Pochwaliłem piękny zamiar i przemówiłem do nich, jakby to można to nabożeństwo pieknie urządzić, jak obraz ubrać i zarazem zaproponowałem składkę po dwa centy na światło.

Po mojej rozmowie, stał się szmer pomiędzy dziećmi: nadzwyczajna u niektórych powstała radość inni zaś biedacy, choć radzi, nie mieli zkąd dostać. Już kilku wystąpiło, i złożyli mi ową sumkę i usiedli na miejscu, a jeden z nich, czteroletni chłopczyna, zapytał: Proszę Pana, czy i na drugi rok będziemy składać na światło? Mądrzejsi się rozśmiali, ale on wcale się tem nie zraził, tylko czekał odpowiedzi. Przeto rzekłem: A dla czego się pytasz? — A bo chciałbym sobie zawczasu uskładać. Inni oświadczyli, że jutro przyniosą. — Inni zaś nie śmieli powiedzieć głośno, bo przeczuwali, że trudno będzie dostać. Dwoje tylko dzieci, chłopiec dziesięcoletni i dzie-

wczyna nie spełna ośmiu latek, smutne czegoś pozwieszały główki. A nawet łza w oku zabłysła obojgu. — Oj! bo one już nie miały własnych matek, ich miejsce zastępowały nielitościwe macochy, dlatego dobrze przeczuwały, że ich prośba będzie odrzucona. Po skonczonej szkole wyruszyły dzieci do domu. Nazajutrz, gdy zaczęły się schodzić, każdy, któremu się udało uzyskać owe dwa centy, szukał mnie prędko, a oddawszy odchodził ucieszony, jakby cały kościół zapłacił. Kiedy wszedłem do izby szkolnej, dostrzegłem, że owe dwie sieroty były zapłakane, bo nie dostały w domu dwu centów. Ja rzekłem, że to tylko dobrowolna ofiara, a nikogo nie przyniewalam, a dobre serce i szczera chęć wystarczą za uczynek. Na godzinę przed wieczorem, kiedy się odbywać miało nabożeństwo, wpada zadyszana Marysia sierotka i oddaje owe dwa centy. A taka wesoła i uszczęśliwiona, że nie mogłem się napatrzyć jej żwawym ruchom. Usiadła obok dziewcząt, co wianuszki plotły i dopomagała im, w czem mogła. Zdjęty ciekawością, jakim sposobem dostała dwa centy, zapytałem na stronie, zkąd je wzieła? A ona prawi: Cały tydzień prosiłam matusi, ale nadaremnie, nie chcieli i nie chcieli dać, tylko zawsze jeszcze swarzyli na mnie. Ale dziś, jak zaczęłam prosić, aby za jeden krajcar nie dali mi śniadania, a za drugi obiadu, to na to przystali, i ot teraz dostałam. — I toś ty dzisiaj jeszcze nie jadła? Ej! — nie, ale mi się jeść nic nie chce, tak się cieszę. Nie mogłem jej już więcej pytać, bo mimowoli łzy mi się puściły z oczu i choć w żaden sposób przyjąć nic nie chciała, zmusiłem ją prawie, grożąc, że zachoruje — iż zjadła nieco przed nabożeństwem. Czyż takie poczciwe serduszko sieroty nie zawstydza wielu?!...

Skąpy dwa razy traci.

Do golarza przyszedł chłop, co to dla oszczędności tylko dwa razy na rok się golił.

— Siadajcie gospodarzu —

— Usiędę zaraz, ale chciałbym się z wami zgodzić, — cobyście też żądali za ogolenie?

— Dwa krajcary i nic więcej —

— To trochę dużo przecie moja broda miękka jak len, to i nie zabawicie długo. — A krajcar nie byłoby dosyć?

— Czyście oszaleli? wrzasnął żyd — na całym świecie niema takiego coby za krajcar golił. Jeszczem nie widział więcej skąpego, jak wy.

Ależ nie gniewajcie się Panie golarzu, toć tu nie ma za co dać dwa krajcary.

Żyd filut po chwili roześmiał się i rzekł:

No cóż mam robić z wami, siadajcie, niech będzie i za krajcar.

Chłop siadł z ochotą, niczego się złego nie domyślając a żyd przystąpił — pomydlił i pół brody ogolił. —

—. Wstawajcie gospodarzu, jużeście gotowi. — A przejrzyjcie się w lustrze, jaki zwas porządny człowiek; kiedy pójdziecie na miasto, to wszyscy ludzie będą na was patrzyć i gdzie się obrócicie, będą was z paradą prowadzić.

— A dyć to dopiero pół brody, a gdzież drugie pół?

— Wszak chcieliscie za krajcar?

— Nie róbcież mi wstydu; macie już drugi, a ogólcie drugą połowę·

— Dajcie dziesięć gospodarzu.

— Toć tylko dwa chcieliście z początku.

— Ny, co z tego, ale teraz chcę dziesięć, bo z wam. mam dużo do roboty.

Chłop rad nie rad musiał dziesięć zapłacić i dopiero żyd i drugą połowę ogolił.

Karol Głowacki.

Pisanie Józefa Kowalika z Czempina do redaktora „Dzwonka“.

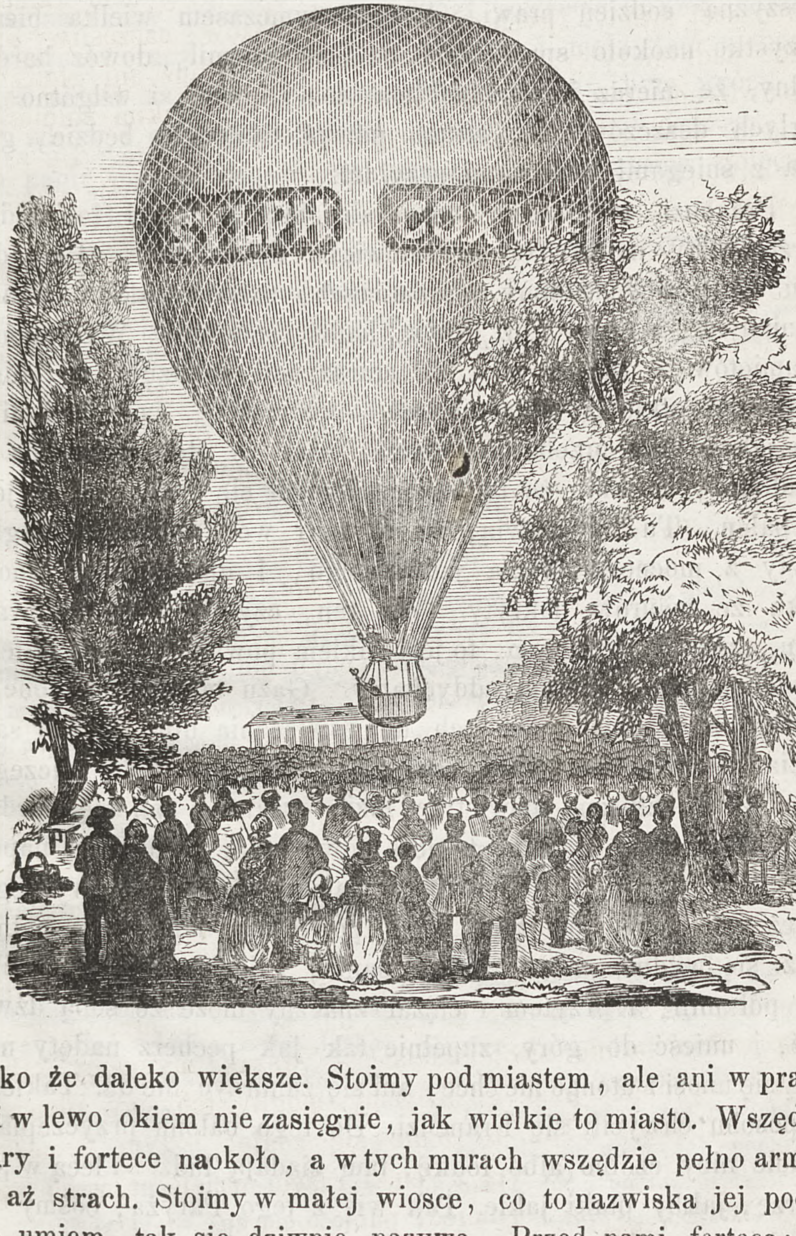
Szanowny Pisarzu Dzwonka!

Już tak dawno temu, jakem się z naszym kochanym „Dzwonkiem“ nie widział. Wybaczcie mi przeto, panie pisarzu, że też kilka słów o sobie doniosę.

Oj, bo co teraz widziałem i przeżyłem, tego podobno już i w życiu nie ujrzę, i nie życzę nikomu, nawet nieprzyjaciołom przez takie tarapaty przechodzić, i na takie patrzeć okropień-

stwa. Już trzy miesiące mija, jak król pruski na wojenkę nas powołał na Francuza, i odtąd człowiek bieduje sam, często o chłodzie i głodzie, a przytem patrzeć musi codziennie na ludzkie nieszczęścia i niedolę. Oj! wojna to straszne nieszczęście! W wielu to bitwach byłem; wielu widziałem rannych, i z naszej strony, i tych biednych Francuzów; szczęśliwy który zaraz padł nieżywy, to go i nic nie boli, i już ani głodu ani poniewierania nie znosi takiego, jak to z francuzkim żołnierzem pruskie, niby takie mądre wojsko się dopuszczało. Bo z nas Polaków, to co który mógł, to tym nieszczęśliwym pomagał i chleba kawałek ostatni rozłamał, a dał, i grosza nie żałował, bo przecie Francuz, to niby nasz brat polski, a nie to choćby bliźni tylko, — on już nieszczęśliwy dość, kiedy już raz w niewoli, toć trza mieć litość nad nim. Ale Niemcy to inaczej rozumieją; oni niby to z rozkazu wyższego umyślnie ich głodem morzyli A co przez wioskę jaką idziemy, to niechby tylko kto pisnął że tu „wolni strzelcy“ byli, to zaraz Niemcy wioskę palą, ale to aż do szczętu. A muszę też wam powiedzieć, co to „wolni strzelcy“. To wieśniacy tamtejsi francuzcy, widząc jak Niemcy kraj ich naszli i wszystko niszczą, nie mogą patrzeć na to, i dać swe ojcowizny palić i rabować; otóż wzięli co kto miał jaką broń, i dalej bronić się. Połączyli się całemi gromadami, i biją się jakby wojsko jakie. My tu w nocy nieraz spimy spokojnie, aż tu naraz taki oddział wpadnie i nam spokoju nieda; to znowu gdzieś kryjomo i kolej żelazną popsują, żeby nam żywności nie dowieziono, — to gdzieś zaczają się, i bydło co dla nas na zabicie przeznaczone zabierą Niemcy to nieraz wściekają się ze złości na nich, ale ja i nasi w mojej kompanji, to sobie rozumujemy tak: prawda, że nam źle przez nich, że nieraz człowiek nie dospi, i jeść nie ma co, bo oni zabrali, to co dla nas było — ale zawsze oni w swoim przecie kraju, to im wolno bronić swojej ziemi, — wszak mybyśmy także inaczej nie robili, jeno gdziebyśmy mogli, tobyśmy nieprzyjaciela turbowali. Tak to mnie się zdaje, i tym z naszej kompanji, co ich to od nas z Polski razem wzięli na wojaczkę. Wy to musicie lepiej rozumieć, panie pisarzu, ale przeto przyjmijcie moje proste zdanie.

Teraz, kiedy to pisanie wam posyłam, jesteśmy już pod samem tem wielkiem miastem, co go to Paryżem nazywają. Jest to, jak mi powiadają, największe miasto w całej Francyi, tak jak w Prusach Berlin, a u was Wiedeń nie przymierzając,



tylko że daleko większe. Stoimy pod miastem, ale ani w prawo ani w lewo okiem nie zasięgnie, jak wielkie to miasto. Wszędzie mury i fortece naokoło, a w tych murach wszędzie pełno armat, że aż strach. Stoimy w małej wiosce, co to nazwiska jej podać nie umiem, tak się dziwnie nazywa. Przed nami forteca; na prawo druga, dalej trzecia i tak bez końca, a na lewo toż-

samo. Za temi fortecami pole równe, a dalej znowu jakieś nasypy ze ziemi, a potem znowu mury z armatami i znowu fortece. Tak mi się niepodobne zdaje, żeby my to wszystko mieli pokonać i wejść do tego wielkiego miasta, choć nam to starszyzna codzień prawi. A nam tymczasem wielka bieda. Wszystko naokoło spustoszone na siedem mil, dowóz bardzo trudny, że nieraz i jeść nie ma co, i zimno, i wilgotno od ciągłych deszczów. Aż strach pomyśleć, co to będzie, gdy zima z śniegami i mrozami przyjdzie.

Francuzi tymczasem ostro się bronią. Jaki to mądry i przemyślny naród, to aż człowieka dziw bierze. Parę dni temu spokojnie siedzimy w namiotach, to jest takich budach płótnianych, wtem naraz krzyk, hałas, strzelanie. Wylatujemy z namiotów a tu wszyscy ze starszyzny pokazują do góry, a żołnierze strzelają w powietrze — patrzymy, nad nami niby kula jakaś, coś przelatuje wgórze; nasi ze starszyzny, co to świadomsi, mówią, że to balon. Pytam się tedy, co to jest ten balon. Tu mi mówią, że to taki wór wielki, okrągły, uszyty z mocnego płótna jedwabnego, i dla większej mocy siatką ze sznurów pokryty. Wór ten, czyli jak go nazywają balon, napełnia się gazem, to jest takiem powietrzem, co daleko lżejsze od tego, którem oddychamy. Gazu takiego podobnego używają w wielkich miastach do oświecania ulic, jak to sam widziałem. Nie ma oliwy, ani łoju, ani knota ani niczego, tylko takie sztuczne powietrze idzie rurami i pali się bardzo jasno. Otóż takim gazem, to jest powietrzem sztucznem, napełniają te wory. A że to powietrze daleko lżejsze od zwykłego, to też wór taki, jak tam tego powietrza napuszczą pełno, zaraz się wydmie niby wielka bania, i leci w górę, choćby i na pół mili, a przytem i ciężar znaczny może ze sobą dźwignąć, i unieść do góry, zupełnie tak jak pęcherz nadęty nad wodą się unosi i utonąć nie chce, ani się zanurzyć nie da. Takiego to sposobu chwycili się Francuzi. Do tego balonu przyczepiają na dole niby czółno albo łódkę, tam siadają ludzie i lecą w powietrze, jakby ptaki jakie. Tak wię z tego Paryża, cośmy go naokoło otoczyli, wynoszą listy i wiadomości, a także i na nasze wojsko z góry pilnie patrzą, gdzie jest w jakiej sile

Niemcy każą strzelać do tego, ale to nie sposób, bo łacniej byś jaskółkę ustrzelił, co tak wysoko buja, niż do tego balona trafił, bo on tak wysoko, że i kula nie dojdzie.

Daj Boże, żeby to jak najprędzej ta nieszczęśliwa skończyła się wojna, żeby człowiek znowu mógł powrócić do swej wioski i spokojnej pracy się chwycić. Bo też i moja tam nieboga gdzieś płacze za mną, i dziatki proszą Boga, bym wrócił do nich zdrów i całusieńki. Jeżeli dłużej zabawimy jeszcze, to wam panie pisarzu znowu co doniosę, a tymczasem polecam was panu Bogu.

Józef Kowalik z Czempina.

*) P. R. List niniejszy czytelnika naszego z księstwa Poznańskiego podajemy w całości, . Dla lepszego zrozumienia tego, co o balonach pisze, podaliśmy rysunek Jeżeli później dalszy list otrzymamy, nie omieszkamy go zamieścic sądzę że i Was zainteresuje.

Urlopnik.

(Ciąg dalszy nast.)

Wystąpienie 7me.

Zosia, Katarzyna, Wojciech, Marcin.

Marcin (wbiega szybko do chaty).

Zosiu! Zosiu, mam ci dobrą nowinę powiedzieć, choć to ja nie bardzo się z tego.... (spogląda w około a kiedy zobaczył Katarzynę, staje i urywa mowę) Ot chciałem Zosi powiedzieć, że Janek przyjechał, a toście wy Katarzyno już dawno sami tę nowinę przynieśli.

Katarzyna.

Ja tam ciebie nie prosiła, ani nie proszę, żebyś mówił o moim Janku. Mój syn takich jak ty dziadów nie chce nawet widzieć.

Marcin.

Toć i jego tam widzieć nie pragnę — na żebry do was nie chodziłem i nie pojdę — a póki mi rąk starczy i zdrowa, toć mam i majątek w pracy, a da Bóg na dłużej go wystarczy jak waszej roli — (zwraca się do Wojciecha). Przebaczcie Wojciechu, żem odszedł od roboty, aby córce waszej sprawić uciechę — choć sobie smutek. (prędko wybiega)

Wystąpienie 8me.

Zosia, Katarzyna, Wojciech

Wojciech.

Dobrze wam powiedział Marcin — a szkoda, żeście coś więcej nie usłyszeli, ale on kłócić się nie umie i nie chce. I cóż wam zawinił, że chciał nam donieść o powrocie Janka. Toć za to podziękować mu powinniście! A czy się to godzi tak pogardzać bliźnimi? toć i on tak człowiek jak i wy — i równy we wszystkiem. Oj kumo moja! zapominacie i na wiarę i na Boga — a to źle. Nikogo nie

poszanujecie ani sługi, a nawet i księdza. Źle, mówię wam, źle!

Zosia.

A nasz ksiądz Dobrodziej taki dobry, taki litościwy — a jaki mądry!

Katarzyna.

Uwzięliście się na mnie wszyscy jakbyście byli nieprzyjaciołmi moimi. Nie przyszłam do was po to, abyście mnie upominali. Jać wiem, że wszyscy ludzie u Boga równi — ale co sługa, to sługa, to nie ja, co mam grunt i chałupę i dobytek. Ksiądz Jegomość to dobry chyba tylko dla was. Bo kiedym poszła do niego z użaleniem, kiedy mi Janka wzięli na rekruta, to on zamiast mię pocieszyć, wymawiał mi, żem na frasunek kieliszczynę gorzałeczki wychyliła; wywodził nade mną, żem Janka nie posyłała do szkoły· A toć mój syn, choć tam w szkole nie bywał, i tak mądry, co się zowie — a gada jak jenerał — że chyba ksiądz albo profesor mógłby się z nim rozmówić.

Wojciech.

Moja kumo! Nie gniewajcie się i nie wygadujcie — nikt wam źle nie życzy, a co prawda to prawda. Słusznie was jegomość skarcił, bo kieliszek, to zguba — a nauka każdemu potrzebna. Gdyby Janek chodził do szkoły, zostałby był w wojsku kapralem i nie potrzebowałby tyle biedować i męczyć się, jak się jako prosty męczyć musiał.

Katarzyna.

A toć on i bez waszej szkoły kapralem, tylkom wam zapomiała powiedzieć zaraz. A jaki mądry! Ale zobaczycie sami — idę po niego — zaraz przyjdzie. — Bywajcie mi zdrowi!

Wojciech i Zosia (razem)

Bywajcie zdrowi. Jdźcie z Bogiem.

Wojciech (na stronie do siebie).

Widać, że się w wojsku i kłamać nauczył — szkoda!

Katarzyna (we drzwiach do Zosi).

Jaki to szykowny i śwarny chłopiec. Mówię ci, pańskie dziecko! Wszystkie dziewuchy będą się o niego dobijały. Ale ja tam nie taka dumna — nie turbuj się, on będzie twoim. (odchodzi).

Wystąpienie 9te.

Wojciech i Zosia.

Zosia (przegląda się w zwierciadełku).

Oj! jaka też to szkoda, że kwiatków jeszcze nie ma; ustroiłabym się w piwonije albo w gieranije, (z uśmiechem) bo ludzie mówią, że mi z czerwonemi kwiatkami ładnie. — A to chociaż przyczesać się trzeba — nieprawda tatusiu?

Wojciech.

Prawda, bo dziewczyna zawsze schludną być powinna; ale się do chłopców stroić, to niekoniecznie Skromność, cnota i praca, to najlepsza ozdoba dziewczyny! Ot! weź się lepiej do jakiej roboty! (Zosia bierze szycie) — A prawda! kiedym wychodził z kościoła, zagadnęła mię wielmożna pani ze dworu — pytała się o ciebie, czyś zdrowa, czyś nie zapomniała szycia — i kazała ci przyjść do siebie; pewnie znowu jaki podarunek.

Wystąpienie 10te.

Wojciech, Zosia i Marcin.

Marcin.

(otwiera drzwi, ale gdy zobaczył Wojciecha, cofa się)

Wojciech.

Czegóż to chciałeś Marcinie, toż pójdź do izby!

Marcin (skrobie się w głowę).

Ej! nic! tak zajrzałem, czy nie każecie jeszcze do południa co robić, bom sieczki już narzezał.

Wojciech.

No! no! — odpocznij sobie już do południa, bo wnet i dzieci przyjdą ze szkoły. — Ale wiesz co Marcinie, czasby już był, żebyś się ożenił. Chociaż cię lubię jak swego, i radbym cię zawsze mieć w domu, ale ci i dobrze życzę. Upatrz sobie jaką poczciwą i pracowitą dziewczynę; dam ci jaką taką pomoc na początek, to dalej jakoś to pójdzie. Jesteś trzeźwy i pracowity, a Pan Bóg takim błogosławi.

Marcin (obejmuje Wojciecha za kolana.)

Bóg zapłać wam mój gospodarzu za obietnicę! — ale mi się tu we wsi żadna dziewucha nie zdaje: wszystko to albo ugania za pohulankami, albo tępe do roboty.. (spoziera bokiem na Zosię) Ot! wasza Zosia, to co innego.. (wstydzi się)

Zosia (wstaje żywo ze stołka).

Widzisz go! będzie wygadywał na dziewuchy. Mnie, to niby chwali, bo w oczy, a przed innemi to będzie obmawiał!

Wojciech.

Daj spokój Zosiu! Nasz Marcin, to poczciwy chłopak. Wiem ja, dlaczego sobie jakiej dziewczyny nie upatrzył — ot, bo się w niedziele nie włóczy po karczmach, jak inni, ale siedzi w domu i słucha, kiedy ty, albo Staś czytacie jakie historye. (Z uśmiechem) Ot, wpatrzył się w ciebie i nie chce za innemi spoglądać.

Marcin.

Oj! kochany mój gospodarzu, tak mówicie, jak byście moje myśli wiedzieli (smutno) ale przebaczcie! zapomniałem, że u was służę.

Wojciech.

Nie gniewam się na ciebie, mój Marcinie! i wiedz o tem, że służba nie hańbi człowieka. A żeś sobie Zosię upodobał, nie dziwię się temu, bo to dobre dziecko. — Żal mi, żem dał słowo nieboszczykowi Wróblowi, że ją wydam za Janka. Gdyby nie to, Zosia byłaby twoją.

Marcin (smutno).

Ha! darmo! niech się dzieje wola boska! Tylko mię też nie wypędzajcie z domu, mój gospodarzu; póki wy żyjecie, będę za was szczerze pracował. A jak nowy gospodarz nastanie — to się usunę — pójdę w świat, może się na co przydam. Lecz kiedy to będzie? — Boże! daj jak najprędzej!

Zosia.

Bo wy tatusiu nie wiecie gdzie się to nasz Marcin wybiera! Zastałam go w izbie, jak ostrząc rzezak wyspiewywał sobie o panu Kościuszce i o Głowackim; — a potem powiedział mi, że skoro będzie wojna z tym okrutnym Moskalem, to i on pójdzię za kosyniera.

Wojciech (ściska Marcina)

Teraz cię jeszcze bardziej lubię, mój Marcinie! bo kto kocha Ojczyznę, to wart, żeby go Bóg i ludzie kochali. (na stronie) Przykro mi! słowa dotrzymać trzeba, tak uczciwość każe. — Żeby tylko Janek godzien był mej pieszczotki!

Wystąpienie 11te.

Ciż sami. — Staś i Marysia (wracają ze szkoły).

Staś i Marysia (razem).

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — Jak się macie tatusiu (całują go w rękę) Zosiu, Marcinie — jak się macie!

Wszyscy:

Na wieki wieków, amen. — witajcie!

Staś (staje na środku).

O! moiście wy kochani, cośmy się też ładnego dzisiaj w szkole uczyli. Prawda, że wszystko czego nas tam uczą jest piękne i pożyteczne; ale o tym naszym królu Kazimierzu Wielkim, to przecudna historya którą wam jutro opowiem, bom dziś jeszcze dobrze nie spamiętał. Ale wiem tylko, że tamtego roku, to Pan Bóg prawie cud pokazał, bo znaleźli w Krakowie w kościele, na zamku Wawelu — kości tego króla, co się nazywał królem chłopków, a to dlatego, bo ich bardzo lubił.

Podczas tego opowiadania pana nauczyciela tak my cichutko siedzieli, jakby makiem zasiał.

Wojciech.

Bo tak trzeba! W szkole jak w kościele, gdy do tego uczą jeszcze religii albo historyi polskiej! Jak bowiem każdy katolik chrześcianin religią umieć, tak każdy Polak swojego narodu historyę znać powinien! — Ale! ale, kupiłem u księdza Dobrodzieja książeczkę o Władysławie Łokietku (wyjmuje), co to był ojcem tego Kazimierza Wielkiego. Cóż to znaczy 6 centów, a człowiek dowie się coś więcej, jak to bywało za dawnych czasów w naszej ojczyznie A tu wielu żałuje tych kilku krajcarów na taką książeczkę pożyteczną; a co to puszczają na wódkę i inne niepotrzebne rzeczy!

Marysia.

A cośmy się też znowu naśmiali dzisiaj przy czytaniu! — Pan nauczyciel zapytał się jednego chłopca: co to jest tęcza; a on odpowiada, że to taki wilk czy smok, co ma pysk jak szkoła wielki i pije wodę z morza. A to przecie takich zwierząt nie ma, i zkądby się wzięło i to jeszcze na chmurze. To tylko słonko odbija tak ładnie swoje promienie na deszczowej chmurze — i to jest tęcza.

Marcin.

Doprawdy, że i ja tak głupio myślałem!

Staś.

Pamiętasz Marcinie, jak opowiadałeś mi o jakichś miernikach, coś widział światełka na polu pasąc konie w nocy. Otóż ci teraz wytłumaczę, bo i o tem dziś w szkole była nauka: Te światełka to nie duchy, bo przecież duszy widzieć nie można, ale to jest zgniłe powietrze, mające tę własność, że, skoro się wydobędzie z ziemi, jakby para, zapala się od naszego czystego powietrza — i nazywa się błędne światełko, bo błądzi po polu, dokąd je wiatr pędzi.

Marcin.

O rety! jakiż to człowiek głupi, jeźli nie chodzi do szkoły, albo nie obciera się o ludzi uczonych! A tu ludziska mówią, żeby ani panom, ani księżom nie wierzyć. Oj zaślepienie nasze! (Dokończ. nast.)

Rozmaitości.

— *Chciwość Moskali.* W czasie wojny między Moskalami a Turkami w r. 1829 wybuchła w wojsku moskiewskiem cholera. Jeden z lekarzy wymyślił taką maszynkę, że umarłego nie potrzebował się nikt dotykać, tylko maszynka wsadzała go i na mary i do trumny. Ten wynalazek okazał się bardzo pożyteczny, bo śmiertelność między żołnierzami od tego czasu bardzo się zmiejszyła.

Zdarzyło się, że oficer umarł nad rzeką. Posłali zatem jego sługę z ową maszynką. Sługa jednak nie wraca. Posyłają więc iunego żołnierza ale i ten nie przyszedł więcej. Więc trzeciego, czwartego, i tak aż do ośmiu. Zadziwili się wszyscy — co to się stało takiego. Zjechała na miejsce owego wypadku komisya lekarska i oto pokazało się, że oficer miał 200 rubli. Służący zamiast go wsadzić maszynką na nosze obkradł go pierwej, zaraził się i umarł natychmiast. Służącego obdarł drugi żołnierz, tego trzeci i tak dalej. Wszyscy siedmiu umarli z zarazy a jeden drugiego po śmierci obdzierał.

— *Sen sprawiedliwego.* W pewnej wsi w Czechach panowała w nocy dnia 26go października 1870 ogromny wicher i burza. Ale jeden z mieszkańców wioski wcale się niebudził i spał w najlepsze. Wicher zerwał już połowę dachu, a on spał jak przedtem. Nareszcie żona nie mogła już dłużej wytrzymać i zawołała gniewnie:

— Wstawajże raz przecie, tam na dworze sądny dzień.

Na to odezwał się mąż całkiem spokojnie:

— A czy już archanioł Michał zatrąbił?

— *Kiszki grochowe.* Na jakie to różne myśli i wynalazki wpadają ludzie. Dotąd żołnierz podczas wojny żywił się jeżeli mięsa i świeżej żywności nie było, samym chlebem zasuszonym czyli jak to nazywają sucharami. Liche to było pożywienie, trza było nieraz choćby i karabinem rozbić suchar taki na kawałki, i potem w wodzie moczyć i spożywać. Otóż teraz wynaleźli Prusacy w tej wojnie nową żywność dla swego wojska. Dowcipny i przemyślny to naród na nasze nieszczęście. Kucharz jakiś w Berlinie, nazwiskiem Grünberg, wynalazł sposób robienia kiszek z grochu, a oraz przechowywania i chronienia tychże od prędkiego zepsucia. Sekret swój sprzedał rządowi pruskiemu aż za 37.000 talarów. Do robienia tych kiszek miesza się mąkę grochową ze szperką, cebulą i solą, i wyrabia się masę, którą się kiszki nadziewają; potem się je szuszą, aby stwardniały. Aby się nie psuły dodaje się różną sól sztuczną. W Berlinie jest teraz w ruchu cała fabryka takich kiszek, pod nadzorem ministerstwa wojennego. Pracuje tam 1200 ludzi, i codziennie 75.000 tych kiszek wyrabiają, aby Niemcy na wojence z głodu nie pomarli.

Złote ziarna.

Wszystkie rzeczy na swiecie rozrządzenie Boże:
Przecie, co gwałtownego, długo trwać nie może

Kto kąkolu nie plewi i wczas go nie ruszy
Potem depcze pszenicę, albo ją zagłuszy.

Każdy swego na świecie szczęścia jest kuwalem
Hojny, głupi utratny, pewnie umrze w nędzy
Pracowity, oszczędny nazbiera pieniędzy
Pijak, żarłok i zwadca dni sobie utrąci
Trzeźwy, skromny, szanowny przeżyje dziesięci.

Niektórzy z naszych czytelników dotąd jeszcze zapłaty za drugie półrocze nie nadesłali, choć prosili aby im Dzwonka posyłać. Upraszamy ich przeto uprzejmie, aby zaległe pieniądze nadesłali, albo przynajmniej napisali nam, że chcą i nadal Dzwonka otrzymywać, a pieniądze później odeszlą. My chętnie poczekamy. Chcemy się tylko zowiedzieć czy i dalej chcą czytać nasze pismo.

Kończy się już rok stary, nowy nadchodzi — kto więc i w przyszłym roku życzy sobie Dzwonka odbierać, raczy nadesłać wcześnie prenumeratę to jest jak dotąd 2 złr. na rok a 1 złr. na pół roku. Jeśli zaś który z naszych łaskawych czytelników nie ma na ten czas pieniędzy gotowych, a chce i nadal Dzwonka odbierać, niech nas listem o tem uwiadomi — a zaczekamy chętnie.

Listów zwrotnych nie rozsyłamy, bo lepiej i taniej posyłać pieniądze za przekazem pocztowym.

Do przyszłego numeru tj. 18go i ostatniego w tym roku, dołączamy premje tj. obraz św. Wojciecha malowany i książeczkę.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.
Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.